GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 6. Kraków, dnia 10. lutego. 1901.

Śmierć królowej angielskiej.



Katafalk z trumną królowej Wiktoryi.

Adam Staszczyk.

Polska literatura teatralna w zakresie sztuk ludowych, nie doszła jeszcze w swym rozwoju do kulminacyjnego punktu.

Na palcach można by zliczyć ludzi, poświęcających się tworzeniu sztuk popularnych, o umoralniającej i pouczającej treści, sztuk, któreby przemawiały językiem zdrowych zasad i głębokiego uczucia do szerokich mas ludowych.

Wobec tego obowiązkiem prasy jest podnosić zasługi tych, którzy działalnością swoją we wzmiankowanym już kierunku, potrafili korzystnie się wyróżnić, gdyż dostarczanie ludowi zdrowego pokarmu duchowego ma u nas nie tylko artystyczne, lecz i społeczne znaczenie.

W spełnieniu tej powinności, podajemy dziś czytelnikom krótki rys biograficzny Adama Staszczyka. Twórca „Nocy świętojańskiej", „X Pawilonu" i „Kościuszki w Petersburgu", zasłużył w całej pełni na to, by publiczność, tylokrotnie oklaskująca sympatyczne płody jego pióra, zapoznała się bliżej z jego osobą.

Adam Staszczyk jest dzieckiem Krakowa. Po ukończeniu szkół, poświęcił się zawodowi ślusarskiemu i praktykował u jednego z najznakomitszych majstrów krakowskich, Szymona Śliwińskiego (ojca p. Bałuckiej). Służba wojskowa którą odbył w Tyrolu, w pułku artyleryi górskiej, uczyniła mu przerwę w pracy zawodowej; po ukończeniu jej wrócił do kraju i, nie porzucając rzemiosła, począł stawiać pierwsze kroki na polu literatury pięknej.

W 1875 roku wstąpił Staszczyk do stowarzyszenia „Gwiazda", mieszczącego się wówczas w domu Szneidra przy ul. Sławkowskiej i grywał tam w teatrzyku amatorskim, kolegując na jego deskach z całą plejadą improwizowanych artystów; warto zaznaczyć, iż niejeden z amatorów, stawiających pierwsze kroki w „Gwieździe", dobił się później zasłużonego uznania na deskach „prawdziwego" teatru, jak np. Żelazowski, Ficzkowska (Marcelowa Trapszowa), Winiarski, Domnik i inni. Tam również wszedł Staszczyk w stosunki ze śp. Julianem Łętowskim, pisarzem o wybitnych zdolnościach, twórcą dramatu „Izrael na puszczy". Komedyjka niemiecka p. t. „Zwei Freunde und ein Rock" przetłomaczona przez Staszczyka dla sceny w „Gwieździe", obiegła wkrótce wszystkie amatorskie teatrzyki na prowincyi.

Osiedliwszy się czasowo w Warszawie, napisał Staszczyk „Noc świętojańską", wystawioną w r. 1879 przez teatr krakowski pod dyrekcyą J. Rychtera: następny rok przyniósł ze sobą „Błędne ogniki", a w trzy lata później pojawiła się „Wiara, Nadzieja i Miłość", napisana również w Warszawie. Powyższe trzy sztuki ludowe zjednały Staszczykowi uznanie krytyki warszawskiej reprezentowanej wówczas przez Sarneckiego, Sienkiewicza, Bogusławskiego, Keniga, Jeske-Chocińskiego i innych.

Następny jego utwór p. t. „X Pawilon" zawdzięcza swoje powstanie wspomnieniom 1863 r. czerpanym od ludzi, którzy w ruchu narodowym czynny brali udział. Po napisaniu „Kościuszki w Petersburgu", zapoznawszy się w Warszawie z A. Edwardem Odyńcem i I. Domejką, powziął myśl napisania jakiegoś utworu na tle życia A. Mickiewicza. Po kilku latach studyów i poszukiwań powstali „Filareci", w których po raz pierwszy ukazały się na deskach scenicznych postacie: Mickiewicza, Maryli, i Zana, wraz z drużyną Filomatów i Filaretów.

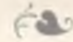


Adam Staszczyk.

Wreszcie po „Dziedzictwie Orłów" i „Ostatnim fancie" przyszła kolej na „Noc w Belwederze", utwór historyczny, który cieszył się na naszej i lwowskiej scenie niemałem a zasłużonem powodzeniem. Obecnie skończył Staszczyk pisanie nowej sztuki p. t. „Górnicy Salin", osnutej na tle życia górników. Należy się spodziewać iż publiczność wkrótce zapozna się z tem chronologicznie ostatniem dziełem sympatycznego pisarza, który złożył w niem dowody niemałej zręczności pod względem scenicznego obrobienia i umiejętnego wprowadzenia fantastycznego pierwiastku.

Prócz sztuk ludowych, pisywał Staszczyk poezye zamieszczane chętnie przez warszawski „Tygodnik Ilustrowany" i krakowski „Świat", oraz był współpracownikiem „Gazety rzemieślniczej", wychodzącej w Warszawie. Muzykę do sztuk ludowych, które wyszły z pod jego pióra, tworzyli między innymi: Zygmunt Noskowski, i Adam Wroński. Pierwszy obrobił część muzyczną „Wiary Nadziei i Miłości", (świetny „duet dziadów" i rzewna pieśń „Z Bogiem w świat" którą do dziś dnia chętnie popisują się liryczni tenorzy), drugiemu należy się zasługa skomponowania muzyki do „Błędnych ogników". Były to pierwsze utwory sceniczne obu wyżej wzmiankowanych kompozytorów.

Już z tego pobieżnego wyliczenia widać, że dorobek twórczy Staszczyka, przedstawia się pokaźnie i bogato. Zdrowa tendencya, zręczna faktura, a zwłaszcza pewne sympatyczne ciepło bijące z jego utworów, zjednało im też niemałą popularność na całym obszarze ziem polskich. Nawet kolonie polskie w Ameryce, grywają w swoich teatrach amatorskich „Kościuszkę w Petersburgu" i „X Pawilon". Popularność ta jest dowodem, iż droga, obrana przez zasłużonego twórcę tylu sympatycznych, szczerze narodowym i patryotycznym duchem owianych utworów, odpowiada w zupełności jego talentowi, który w usilnej pracy znajduje trwałą podporę i gwarancyę coraz to większego rozkwitu, na pożytek szerokich mas naszego społeczeństwa.



Kazimierzowi Tetmajerowi

z powodu napisania

„Zawiszy Czarnego".

Gdyś był dziecięciem, muza przystroiła
Kołyskę dziecka w czarodziejską lutnię!
A gwiazda jasna nad głową wschodziła
I siała blaski, by życie, co smutnie
Płynąć Ci miało, opromienić sławą,
Za pieśń Twą łzawą, i — za dolę łzawą.

MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciemność piwnicy grobowej, pustka lochu sklepionego pod kościołem.

Ogromne głazy zakryła pleśń zielona, po złomach cementem spojonych biegną ślady sączącej się wilgoci.

Trumny i trumny.

Wszystko zbutwiałe. Bóg wie, kiedy ci ludzie pomarli, bo prochy tylko z nich zostały.

Tu leży zapadła trumna obita łachmanami zgniłego, czerwonego aksamitu. Na rogach i spojeniach błyszczą złociste gwoździe. Obok niej druga z przybitą na wierzchu tarczą herbową i infułą biskupią. Ta trzecia stoi niby to cała, dębowe drzewo wydaje się jakby wczoraj ścięte było, nie dotykaj jej jednak ręką, bo dłoń twa utonie w próchnie jak we mchu leśnym, nie trącaj jej, bo cała wraz z umarłym w proch się rozsypie.

Strasznym językiem przemawiają milczące groby.

Tu tak cicho, że martwota wyje w uszach straszliwym głosem: Śmierć.

Tu tak ciemno, że błyskawicznie jasno widzisz nicość bytu ludzkiego.

Powoli, powoli oko przyzwyczaja się do ciemności.

Wzdłuż ścian u dołu zaczyna coś szarzeć, jakby dymić mdłem, zielonem światłem.

To zbutwiałe drzewo tak fosforycznie błyszczy, to kości ludzkie, zmięszane z drzewem, zgłuszonym blaskiem świecą.

Noga trąciła o jakiś kompleks żelaza czy miedzi, który z żegotem i chrapliwym zgrzytem dalej się potoczył. Lampa kuta w metalu świeciła tu niegdyś w grobach, zawieszona na żelaznym łańcuchu. Czas przeżarł żelazo i zapomniana przez ludzi lampa padła na podłogi grobowca i zmięszała się z błotem rudery, lampa, która świeciła przed rzeźbionym kamiennym sarkofagiem.

* * *

W cichym grobie śpi Jan Banik, warcabnik żup bocheńskich. Popioły jego leżą w rzeźbionym kamiennym sarkofagu. Bóg wie, jak dawno tam leżą, może lat sto, może dwieście.

Królowa polska Jadwiga postawiła kościół i klasztor Dominikanów bocheńskich; on, Banik, mieszczanin bocheński uposażył klasztor pieniądzmi, darował mu ogród pod Huzbornią, postawił kaplicę, a w niej wspaniały, marmurowy ołtarz. Pod kaplicą wybudował sklep. na grób dla siebie, swej rodziny i wszystkich dobrodziejów kościoła.

Usnął, złożon w sklepie i w proch się obrócił. W czeluści kamiennej skrzyni niema nic prócz popiołów, w które zakopał się stary radziecki łańcuch i pierścień złoty. Zapomnieli ludzie o Janie Baniku, o dobrodziejstwach jego, zapomnieli o grobie jego, zapomniano nawet, którędy droga prowadzi pod jego kaplicę.

Dziś przypomniano sobie o nim i prochy Banika przyjmują gości w ciemnym i wilgotnym grobie.

Cicho!

Huczy coś i rytmicznie bije, jakby kto kilofem w kamienną caliznę walił. Echa zbliżają się coraz bardziej do trumien, coraz bliżej rydel robotnika pracuje.

Zadrżała ściana krypty, poruszył się jeden ogromny głaz i promień złotego światła wdarł się na podłogę sklepu.

Zjawisko z bajki, czy czarodziejski poemat?

Podłoga całej połowy sklepu, założona złotem, świeci się klejnotami i misternymi wyrobami ze srebra, godnymi zdobić skarbiec królewski.

Patrz!

Na stojących pod ścianą ladach cechowych błyszczą się święte monstrancye, wybijane rubinem i szmaragdami, bogate kielichy o oprawach tkanych ze złota i dzierzganych, relikwiarze ze złocistą Męką Pańską i patyny szczerozłote, które jak księżyc w półtonach ciemnych się świecą. A na gromadzie tych skarbów, tęczą pereł, brylantów i dyamentów błyszczy obraz Matki Boskiej, zakryty cały złotemi wotami. Gdy światło pochodni promieniem jasnym prześlizło się po bogatej sukni obrazu, to zdawało się, że słońce błyszczy w dyamentowych perłach porannej rosy...

Kamień w ścianie chwieje się coraz bardziej i coraz głębiej się usuwa.

Ludzkie szepty słychać coraz głośniej, otwarła się wreszcie w ścianie jama, przez którą wpłynęła ogromna struga świateł jaskrawych.

Słychać już wyraźnie przyciszone głosy ludzkie.

— Ja poświęcę drogę waszej wielebności.

Przez szczupły otwór w murze wsunęła się do sklepu postać barczystego mężczyzny. Oświecił on górnickim okrągłym kagańcem czeluść i wszedł.

— Tędy ojcze, proszę.

Do lochu wcisnęło się osób kilka.

— Podawać! — zawołał jakiś starszy o siwej czuprynie.

W wyboju ściany zaczęły się pokazywać przedmioty takiej wspaniałości, że oczy radowały się patrzeć na arcydzieła kunsztu, iskrzące się w świetle kagańców. Wszystko własnoręcznie odbierał mnich w białym stroju, z wygoloną na głowie czupryną.

— Krzyż srebrny, dar naszej królowej Jadwigi.

— Pacyfikał złoty, z relikwiami drzewa Krzyża Świętego.

— Kielich złoty fundacyi Jana Banika, górnika bocheńskiego.

— Teraz, rzekł starszy, otwórzcie ladę cechową, a waszeć pisz do rachunków: powroźnicy składają 220 talarów, szynkarze 150 złotych polskich i dzban cechowy z pucharami, bednarze żupni 300 krystynków, białoskórnicy 170 talarów w orłach i półtorakach.

Koniec.

Wsypano pieniądze do skrzyni wraz z papierem rachunkowym, a drużyna cała już miała wychodzić, gdy ksiądz przeor upadł przed świętym obrazem na kolana, załamał ręce i przemówił:

— „Nie Tobie Panno w ciemnym lochu bawić, nie Tobie matko kryć się po sklepach grobowych. Zeszłaś tu przed świętokradczą ręką łotrzyków, aby nie targnęli się na Twój święty obraz. Wróć się, o, wróć do jasnej Twej świątyni, daj wiktoryą Rzeczypospolitej i wybaw Twój lud z nędzy i niedoli!"

Rozjarzono kaganki, a ludzie jęli loch opuszczać. Wnet wsunięto w otwór kamień jeden i drugi, zalano wapnem i zabito deskami. Przez deski przeciągnął przeor sznur czerwony, podwójci zaś zlepił jego końce woskiem i na wosku wielką pieczęć miejską wycisnął. (C. d. n.).



Bo Ci nie dano, byś na wolnej ziemi
Śpiewał miłości pieśni i tęsknoty,
Lecz byś na lutni, między umarłymi,
Grał pieśń wskrzeszenia i w tajemne groty
Chodził, gdzie zmarli przed wieki rycerze
Śpią w stal zakuci i w krwawe pancerze.

* * *

Jeżeli orlę nie potrafi patrzeć
Krwawemi oczy we światła przestworze,
To je zabija, by ślad jego zatrzeć,
Ojciec-monarcha, bo wzlecieć nie może
Nigdy ku słońca bezkresom świetlanym
Kto nie jest orłem i światłości panem.

Lecz Tobie orle dano loty w niebie
A iść kazano — do mogił krainy
I harfę zabrać, i grać na pogrzebie
Wolności ludów i zbierać wawrzyny
Na grobach braci, wśród trudu i bólu...
Dlategoś smutny orle, pieśni-królu.

Więc gromem brzmiącą Juliusza lutnię
Wziąłeś i budzisz umarłe olbrzymy.
Pieśń łzami wzbiera tak bezbrzeżnie smutnie
I tak łka głośno, że płaczące rymy
Żar wzniecić mogą w zagasłej iskierce
I skamieniałe znów obudzić serce.

Idziesz, jak prorok, z płomieniami w oku,
Jak czarna burza z nieszczęścia gromami,
Grasz!... i powstają w legendy uroku
Dusze rycerzy z „czarnemi“ zbrojami,
I przez ich usta wieścisz zmartwychwstanie:
Więc cześć Ci, pieśni mocarzu i panie!

Cześć Ci pieśniarzu! bo w zwątpień rozterce
„Czarny“ Twój rycerz, jak grom zemsty złoty,
Spada na zdrajców i robacze serce
Nogą potrąca, a chociaż brzeszczoty
I klingi krwawe w piersi godzą męża —
On idzie naprzód, łamie i zwycięża

3./II 1901.

Michał M.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Nigdzie, na całym obszarze ziem polskich nie karmią czytelników pism codziennych tak wyczerpującymi sprawozdaniami z teatru i koncertów, jak w Warszawie. Gród syreni leży, mówiąc z myśliwska »na ciągu« śpiewających i grających ptaszków; corocznie dziesiątki gwiazd muzykalnego firmamentu oświetla Warszawę na jakiś czas blaskiem swoich produkcyj i pędzi dalej, ku złotonośnym minom Moskwy i Petersburga, po wieńce z wawrzynu i — rubelków.

Ten potop wirtuozów wszelkiego rodzaju, nawiedzający stolicę Polski, spowodował patologiczny proces w dwóch częściach jej muzykalnego społeczeństwa: publiczności i prasie. Pierwsza nauczyła się przeceniać odtwórców na niekorzyść talentów twórczych, druga poświęca lada ryczywołowi włoskiemu lub niemieckiemu rzępole więcej uwagi, czasu i miejsca w szpaltach dzienników, niż poważnym dziełom swojej lub obcej twórczości muzycznej. Niektórzy recenzenci wymyślili nawet specyalny słownik najniemożliwszych i najohydniejszych pod względem estetycznym wyrazów, by módz w impresyonistyczny sposób poinformować czytelników jak pan Rzępoliński spotwarzał grą swoją genialne dzieła Chopina, lub na jakiej drodze panna Kiksownicka w partyi Margrabiny doszła do połączenia »arystokratycznego wykwintu frazowania« z »burzliwą namiętnością wzgardzonej kobiety«. Pierwszą z tych iści piekielnych maszyn do torturowania polskiego języka wprawił w ruch pan Sygietyński; niestety, nie zbrakło mu naśladowców.

Aby jednak dać czytelnikom choć skromne wyobrażenie, do jakich absurdów dochodzi krytyka warszawska na drodze oceniania wirtuozów, zestawiamy poniżej wyjątki z dwóch recenzyj o ostatnim koncercie słynnego pianisty, Józefa Hofmana. O objektywności i fachowem uzdolnieniu pp. recenzentów można z nich nabrać jakiego takiego pojęcia.

„Kurjer Warszawski“ *(p. Poliński).*	**„Słowo“** *(p. Strzelecki).*
Jak sztuka twórcza, równie i wykonawcza nie zna takich granic, poza któremi postęp byłby już niemożliwy. Są np. tacy wirtuozi, którzy w pewnej epoce swej działalności zdaje się, że już **dotarli do krańców ostatecznych doskonałości artystycznej,** że wdarli się na wysokości tak zawrotne, iż wdarcie się jeszcze wyżej byłoby już prostą niemożliwością, a jednak idą dalej. I to, co było dziś poczytywane za kres ich doskonałości twórczej, czy tylko odtwórczej, jutro uważane być musi za etap jedynie postępu, wiodącego ku dalszym wyżynom sztuki.	Cudowne dzieci wyjątkowo tylko rozwijają się w artystów wybitnych. Zbyt wczesny rozwój umysłu i uczucia, zbyt wielka praca oddziaływa szkodliwie na nieuformowany organizm duchowy i pociąga za sobą skarlenie hodowanych w cieplarnianej atmosferze roślin. **P. Hoffman** stanowi jeden z bardzo nielicznych wyjątków i jakkolwiek **nie jest** on **jeszcze artystą skończonym,** jakkolwiek **ma jeszcze przed sobą wiele pracy i trudu, by stanąć u szczytu,** dziś widoczne jest, że jego organizacya psychiczna przetrwała ciężką próbę „cudownego dzieciństwa“ i stawiła opór wszystkim ujemnym i szkodliwym pierwiastkom tego okresu.
Do rzędu takich **wyjątkowych wirtuozów** należy i Józef Hoffman. Kiedy grał ostatni raz w Warszawie — a było to nie tak znów bardzo dawno — zdawało się, że **jego technika stała już wówczas na poziomie największych wymagań sztuki wykonawczej.**	**Technika jego nie jest jeszcze zupełnie wykończona.**
...Zdrowa dusza pianisty odzwierciadlała się tu w interpretacji zdrowej, **nie poniżającej się do** wydłubywania z kompozycyi **efektów dla wywołania wrażeń błyskotliwych i do schlebiania „przeciętnym“ słuchaczom.**	Liszta-Szuberta *Soirées de Vienne* wykonał p. Hoffmann wybornie, czasem tylko zdradzając brak siły w prawej ręce i *penchant* do maniery, przesadnego subtylizowania i **szukania efektów trochę sztucznych i działających tylko na szersze warstwy.**
...Artyzm środków wykonawczych, oraz **wszechstronna indywidualność** wirtuoza łatwo już ujawniły się w kompozycjach czysto technicznych.	P. Hoffmannowi brak jeszcze tej **indywidualnej siły,** która podnosi jednostkę po nad środowisko, daje jej potęgę fascynowania tłumów i porywania ich za sobą. **W grze jego nie czuje się wybitnej indywidualności,** nie ma w nim tej „Bożej iskry“, która „zjadaczy chleba w anioły przerabia“.

Niech więc teraz kto zgadnie, czy Józef Hoffmann jest pianistą znakomitym, czy tylko przeciętnym rzempołą?

Na zakończenie mała próbka impresyonistycznego stylu w zastosowaniu do recenzyi muzycznych. Autor: p. Poliński, który po p. Sygietyńskim objął nietylko urząd recenzenta w »Kurjerze Warszawskim«, lecz nadto przeokropną manierę stylistycznych łamańców.

Otóż, według p. Polińskiego, Hoffmann:

„gdzie się dobra sposobność zdarzyła, (?) to *huczał* burzą oktawową, *bił* gromami akordowemi, *świstał* pasażami, lub pieszczotliwie *muskał* klawisze, jakby miał palce z puchu łabędziego: gdzie znów dobrą znalazł okazję, (?) jak w Chopinie, *śpiewał* (w Impromtu Fis-dur), *deklamował patetycznie* (w etiudzie Cis-mol), lub *podrygiwał swawolnie* w rytm ochoczego tańca mazowieckiego“.

Nie wątpimy, iż produkcyami koncertanta, wyprawiającego takie awantury, publiczność musiała ubawić się co najmniej tak dobrze, jak ja recenzyą pana Polińskiego.

Mieszkańcy ul. Wolskiej mieli parę miesięcy temu ciekawe a dziwne widowisko.

Oto, mniej więcej koło 4-tej popołudniu, całą ulicę zalał potok ludzki, zdążający w kierunku rogatki; na czele szedł spiesznym krokiem jakiś góral, a za nim podążała rzesza płci obojga, złożona przeważnie z młodych ludzi. Na wszystkich twarzach znać było poruszenie i zaciekawienie.

Liczni przechodnie, dowiadujący się, dokąd idzie ten tłum, otrzymywali krótką odpowiedź, po której następowało znaczące kiwnięcie głową lub wzruszenie ramionami.

Na drugi dzień, pisma galicyjskie rozgłosiły urbi et orbi, że jeden z docentów uniwersytetu, człowiek znany zarówno z olbrzymich zdolności, jak i z jeszcze większego dziwactwa, miał wykład ku uczczeniu rocznicy listopadowej w... Parku Jordana. Prelegent siadł okrakiem na wiesządle wznoszącem się koło boiska i z tej improwizowanej katedry miał mowę do słuchaczy, częścią stojących dokoła, częścią zaś porozwieszanych na gałęziach drzew. Wykład był podobno wspaniały.

W kilka dni potem dowiedziano się wszakże, iż ów docent wyjechał z Krakowa, osieracając swych adoratorów i przeciwników. O przyczynach tej emigracyi chodziły przeróżne pogłoski; najuporczywiej otrzymywało się mniemanie, że to »choroba nerwowa«, (słowu temu towarzyszyły różne komentarze mimiczne) była powodem, dla którego gród Kraka został pozbawiony najoryginalniejszego swego mieszkańca, a Almae Matri ubył jeden z tych, co przed narodem niosą oświaty kaganiec...

W każdym razie, po wyjeździe prof. L. Kraków miał o czem mówić. Przypominano sobie tysiączne, prawdziwe lub zmyślone, anegdoty i »kawały«, tyczące się jego osoby, śmiano się lub żałowano straty, ba, gorętsi adepci »polskiego nauczyciela filozofii« udowadniali nawet przeciwnikom mistrza niesłuszność ich zarzutów, z użyciem niejednego d o b i t n e g o argumentu, słowem, ruch był olbrzymi. Z przeróżnych, mniej lub więcej fantastycznych opowiadań, które krążyły po mieście a conto kaznodziei z parku Jordana, wyjmę kilka, odznaczających się tem, iż są autentyczne. Niezwykła i wielce interesująca postać *hominis quaestionis* nabiera w ich oświetleniu jeszcze niezwyklejszych i jeszcze bardziej interesujących konturów.

Otóż mówią, że sale uniwersytetu i park Jordana nie były jedynemi szańcami, z których prof. L. »strzelał grzmiącemi słowy do serca współbraci;« w razie potrzeby nie gardził on żadnym lokalem, w którym przebywały istoty dwunożne, nieopierzone i mające uszy ku słuchaniu. Pewnego razu zjawił się np. w łaźni i wszedłszy do ubieralni, gdzie kilka osób w strojach więcej niż niekompletnych przygotowało się do »parzenia« — otworzył okno.

Czyn powyższy wywołał głośne i wielce uzasadnione protesty ze strony gości, a jeden z nich, silnie niezadowolony z postępowania górala (prof. L. najchętniej przyodziewał się w strój góralski) wezwał go do zamknięcia okna; apel ten nie odniósł wszakże żadnego skutku W obec tego ów malkontent, sądząc, iż »pan gazda nieco sobie podpili« zrobił go uważnym, że czynność, do której łaźnia jest przeznaczoną, nie streszcza się bynajmniej w otwieraniu okien, a »parzenie się« w nietrzeźwym stanie może mieć nawet niebezpieczne dla zdrowia skutki. Lecz te uwagi pozostały bez odpowiedzi. Dopiero, gdy niektórzy goście śmielszej natury zabrali się nie na żarty do tłomaczenia »gaździe«, iż robi głupstwa, góral przemówił do nich, proponując udowodnienie w obec pięćdziesięciu słuchaczy, iż otwarcie okna w łaźni nie jest zupełnie szkodliwe zdrowiu!

Tableau. Koniec końcem przypieczętowano sprawę zakładem 100 koron, które w razie wygranej prof. L. miały pójść na skarb narodowy. Niestety, zakład pozostał nierozstrzygnięty, gdyż... nie można było zebrać owych pięćdziesięciu osób, gotowych do wysłuchania prelekcji na temat łazienkowych okien. Smutne, ale prawdziwe.

Ów kostyum góralski, w którym paradował po mieście »polski nauczyciel filozofii«, był powodem rozlicznych zawikłań i nieporozumień. Między innemi, utrzymywano w pewnych kołach, że właściciel jego, w wolnych od nauczania chwilach, sprzedawał na placu Szczepańskim suszone owoce. Nie ulega wszakże wątpliwości, że podobna anegdota nie ma żadnej faktycznej podstawy. Prof. L. wyrażał się wprawdzie nieraz, iż suszone jabłka, gruszki i śliwki są »narodowym owocem polskim« i rozdawał je podobno swoim znajomym, twierdząc, że Polak innych owoców jeść nie powinien, trudno wszakże przypuścić, by w propagandzie swojej posunął się, aż do sprzedawania »suszu« kucharkom, nawiedzającym plac Szczepański. Gdyby mi powiedziano, że rozdawał go za darmo, mógłbym łacniej uwierzyć; handel nie leży jednak, jak się zdaje, w sferze jego działalności.

Chociaż, z drugiej strony, granice jej nie mogą być na razie ściśle określone. Prof. L. zajmuje się wielu rzeczami i, jak twierdzą jego zwolennicy, w niejednym kierunku wiedzy doszedł do zdumiewających rezultatów. Jakkolwiek możnaby się na jego teorye zapatrywać, oryginalności nikt im nie może odmówić. Np. liczne swoje prace ogłasza prof. L. z reguły w pismach o niesympatycznym dla siebie kierunku, motywując to mniemanie w następujący sposób:

Artykuł mój, wydrukowany przez dziennik o kierunku zbliżonym do moich zasad, chybi celu, którym jest rozkrzewianie mej nauki wśród ludzi, zachowujących się o d p o r n i e względem głoszonych przezemnie poglądów.

Abonenci i czytelnicy pisma, solidaryzującego się z tem, co ja mówię, zgadzają się mniej więcej na moje twierdzenia, poco-ż ich zatem przekonywać? Wolę rzucić ziarno swojej nauki tam, gdzie jeszcze nie mogło zakiełkować, wolę nawracać ludzi, usposobionych nieprzychylnie dla mnie i dla moich teoryj.

Argumentacya bądź co bądź oryginalna i ciekawa, jak cały »polski nauczyciel filozofii« wraz ze swymi teoryami i góralskim strojem; nie ulega wszakże wątpliwości, iż częste stosowanie podobnych łańcuchów syllogistycznych w życiowej praktyce, musi dawać olbrzymie pole do... plotek i anegdot, nb. opartych na prawdziwych zdarzeniach.

Jednem z nich, bodaj czy nie najoryginalniejszem było »niespodziewane wynajęcie mieszkania pod wpływem wewnętrznego głosu«, z następującym przebiegiem:

Pewnego dnia »prof. L. idąc jedną z ulic miasta« ujrzał na pewnej kamienicy kartę z napisem: »Mieszkanie do wynajęcia«. Natychmiast zrodziła się w jego duszy myśl, iż powinien z korzystać z tej sposobności i nająć trzecie z rzędu mieszkanie w Krakowie (dwa już posiadał).

Myśl zamieniła się rychło w czyn, zwłaszcza, iż dom był opatrzony Nrem 1-szym, lokal zaś znajdował się na 3-ciem piętrze. (Obie te liczby mają zdaniem p.L. pewne kabalistyczno-mistyczne znaczenie).

Z wojny chińskiej.



Stracenie mordercy niemieckiego posła, barona Kettelera.

Śmierć królowej angielskiej



Telegram donoszący o śmierci królowej Wiktoryi na murze Mansion-house w Londynie.

Najważniejszą jednak przyczyną, dla której p. L. zdecydował się na wynajęcie mieszkania, było to, iż z okien jego widać kopiec Kościuszki! W jednej chwili czynsz został uiszczony; część lokalu zajęli adepci »polskiego nauczyciela filozofii«, drugą zaś zachował on dla siebie, aby módz co jakiś czas popatrzeć się na swój ulubiony kopiec.

Powyższe anegdoty będące zaledwie setną częścią tego co ludzie opowiadają o prof. L. przytoczyłem *in extenso*, aby przypomnieć czytelnikom jego osobę, w chwili, gdy telegramy i listy zamieszczane przezeń w... »Naprzodzie« (patrz wyżej ustęp o pismach sympatycznych i niesympatycznych) zwiastują rychły powrót mistrza na arenę dotyczasowej działalności. Opiekunowie Almae Matris Jagellonicae nie muszą być chyba ucieszeni z tych zapowiedzi; na przekór ich zdaniom o rzekomej »chorobie« prof. L., uważa on stan swego zdrowia za całkiem wystarczający nietylko do wykładania, lecz nadto do »ukarania oszczerców«, czyniących mu kłamliwe zarzuty, który to akt sprawiedliwości został już z góry uroczyście zapowiedziany. W obec tego, trudno powątpiewać, iż nowe 500-lecie krakowskiego uniwersytetu zapisze wkrótce w swoich annałach różne ciekawe i niezwykłe wypadki.

Co cię mnie tyczy, skłonny jestem do przypuszczenia, iż prof. L. jest t y l k o dziwakiem, co nieubliża, ani jego osobie, ani też olbrzymiej wiedzy jaką posiada i gdyby przyszło mi wybierać między nim, a niejedną z ciężko uczonych powag, które usiłują go wykluczyć od nauczania, nie zawahałbym się ani chwili. Zresztą panowie stróże honoru wszechnicy, przebąkujący dyskretnie między wierszami swoich komunikatów o »chorobie« prof. L., winni zawsze mieć w pamięci fakt, iż niemała ilość katedr na naszym uniwersytecie jest... *dziedzicznie obciążona*...

Jako szanujący się fejletonista muszę mieć kilku »przyjaciół«, ktorym wydarzają się różne przypadki, zużytkowywane następnie w kronikach, pogadankach i t. d. Otóż jeden z nich, ochrzczony imieniem Fonsia, zapałał niedawno gwałtowną żądzą sprawienia sobie — szafy.

— Garderoba moja — mówił — rośnie w stosunku prostym do rachunku, który mam u Nitkowskiego. Frak, anglez (z przyległościami w paski) ubranie letnie, paltot, zarzutka, wszystko to wisi po kawalersku na kołku, prusząc się i niszczejąc. Muszę kupić szafę, ładną obszerną szafę, z dwoma rzędami wieszadeł!

Widząc niezłomność zamiarów Fonsia, dałem mu spis firm stolarskich w Krakowie, oraz przyjacielskie upomnienie, aby w pogoni za szafą omijał starannie progi żydowskich sklepów.

Fonsio podziękował za przestrogę i zapewniwszy, iż nigdy nie splami się kupieniem czegokolwiek u żyda, znikł mi z oczu.

W kilka dni później, przechodząc ul. Bracką, wstąpiłem do mojego druha pragnąc ucieszyć oczy widokiem jego no i — szafy, lecz pierwszy rzut oka na pokój przekonał mnie, że zamiarom Fonsia musiało coś stanąć na przeszkodzie; z klamki zwieszała się po dawnemu zarzutka wiosenna, poręcz łóżka była przybraną w secesyjne festony z letniego garnituru, a frak i anglez, arcydzieła Nitkowskiego, wisiały na wspólnym gwoździu, miętosząc się wzajemnie.

Wzrok mój był chyba dość wymowny, skoro spowodował następującą tyradę niedoszłego właściciela pięknej szafy z dwoma rzędami wieszadeł:

— Bodaj cię... (resztą opuszczam ze względu na dosadność wyrażenia) razem z twojemi radami! Byłem we wszystkich składach, które mi spisałeś... wiesz czegom się tam nauczył? Oto tego, że kto chce mieć szafę, nie może sprawić sobie ani kawałka ubrania, a kto ma garderobę, winien zrzec się raz na zawsze szafy. Masz ty pojęcie co kosztuje taki aparat?!?!

Zaprzeczyłem stanowczo; przy takiej ilości ubrania, jaką rozporządzam, szafa byłaby dla mnie sprzętem luksusowym.

— Najmniej trzydzieści reńskich, słyszysz trzydzieś—ci reńskich! Wylicz że sobie teraz, ile mi zostanie na życie, ubranie, mieszkanie, światło i opał, skoro z 75 fl. pensyi od mecenasa (Fonsio jest kandydatem adwokackim) »palnę« trzydzieści za rzecz, której nie można ani zjeść, ani wypić, ani też użyć na mieszkanie? W każdym sklepie do którego zaszedłem ta sama piosnka:

Z ubiegłego wieku.



Pierwszy osobowy pociąg kolei żelaznej.

Z życia królowej Wiktoryi.



Ostatnie spotkanie monarchini z cesarzem Franciszkiem Józefem.

— Pan dobrodziej potrzebuje szafeczki? Jest, jest śliczna, nowiusia, z suchutkiego drzewka, trwała, wnuki pana dobrodzieja będą w niej wieszały swoje ubranka...

Patrzę, mebel rzeczywiście śliczny.

— Co kosztuje?

— Pięćdziesiąt guldenków — sto koronek, jak pan dobrodziej woli.

Zdębiałem kompletnie.

— Ależ panie, proszę o tańszą!

— Jest i tańsza, służę: trzydzieści guldenków, ale drzewko już gorsze, o, znacznie gorsze!

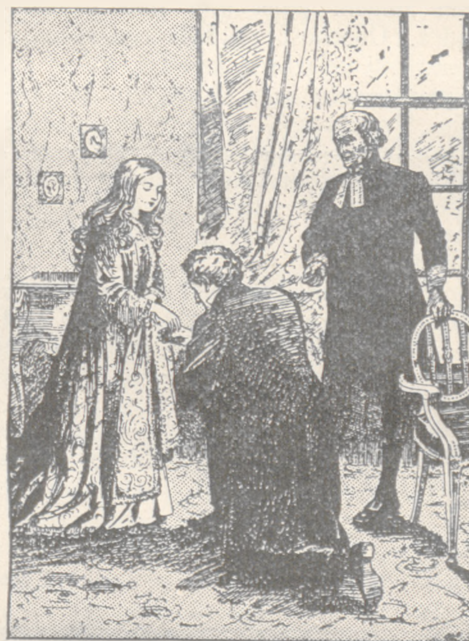
— To jeszcze dla mnie za drogo...

— Żałuję, żałuję panie dobrodzieju, ale my tandety nie trzymamy! Poniżej trzydziestu guldenków niema porządnej szafeczki, niema. Może pan dobrodziej być pewnym, że w żadnym uczciwym składzie nie posiadają tańszych mebelków... My dajemy uczciwy towar...

— Dobrze, bardzo wierzę, skąd wszakże wziąć uczciwych pieniędzy na tę uczciwą szafę? Przecież ja nie mogę zrzec się zupełnie jedzenia i picia, a w zamian patrzyć tylko do końca miesiąca na swoją szafę, choćby była Bóg wie jak ładna, mocna i trwała?!!

Mój kupiec, nie znalazłszy już odpowiedzi na taki argument spojrzał na mnie z lekkim odcieniem politowania i wzruszył ramionami, jak gdyby chcąc powiedzieć:

Z życia królowej Wiktoryi.



Pierwszy hołd, złożony młodziutkiej monarchini.

— Cóż ja na to poradzę?

Wobec tego — wyszedłem ze sklepu z silnym zamiarem udania się gdzieindziej, lecz wszędzie, dokąd zaszedłem, zbywano mnie stereotypowem:

— Nie trzymamy tandety; nasze szafy są tak mocne, że wnuki pana dobrodzieja...

Wyznam ci szczerze, iż nakoniec poczęło mi być tego za wiele. Czy mam się głodzić dla tego, aby przyszłe pokolenia, (których zaistnienie jest w ogóle dość wątpliwą jeszcze rzeczą) miały przyjemność dziedziczenia po mnie starych mebli? Wróciłem za tem do domu z silnem postanowieniem... ożenienia się jak najprędzej, gdyż ogólnie przyjętym zwyczajem, pokój sypialny mebluje żona. Aż do tego czasu, zachowam pod względem rozmieszczania sukien po ścianach i krzesłach, niezmienną politykę wolnej ręki.

Opowiadanie Fonsia utwierdziło mnie jeszcze w przekonaniu, iż nasze stosunki handlowe wymagają w tym względzie gwałtownej reformy. Prawdą jest (mówiąc stylem w. 19-go) że warsztaty i sklepy chrześcijańskie dają towar dobry, trwały i pierwszej jakości, lecz prawdą jest również, że nie każdy może się zdobyć na sumę, która do nabycia tej sorty wyrobów niezbędnie jest potrzebną. Ludzie, żyjący skromnie i skromne mający dochody, muszą się zadowolić towarem gorszym,

byleby módz zaopatrzyć się w to, czego im koniecznie potrzeba. A gdzież mają zaspokoić swe potrzeby, skoro chrześcijańskim firmom ubliżyłoby trzymanie »tandety«? Naturalnie że u żyda! Pejsaty meblarz ma sprzęty domowe na każdą cenę, od najtańszych do najdroższych, i na wszystkiem potrafi »orżnąć« klienta, napędzonego mu w sak przez niedbające o własny interes firmy katolickie.

Fonsio wolał obejść się bez szafy, aniżeli tuczyć swym groszem żydowską kabzę, lecz czy wszyscy chcą i mogą postępować taksamo?

Pertinax.



PTAK PRZELOTNY

obrazek ludowy

napisał

Konstanty Krumłowski.

(Dokończenie).

XV.

Wiele rzeczy się zmieniło.

Dwór zmienił pana, który cicho, bez zwracania uwagi zniknął — jak powiadali, poszedł do miasta. Pan Kajetan nie doczekał się już tego. Pewnego wieczoru wyszedł — i nie wrócił więcej. I w chałupie u Marcysi nastały zmiany. Sterany zamknął oczy ojciec... Marcysia o tem dowiedziała się i przyszła — zaglądnąć do domu.

Dwie osoby w rodzinie skupiały koło siebie całą uwagę. Był to mąż najstarszej córki, ze względu na reprezentowaną obecnie najwyższą zwierzchność domową — i Marcyśka ze względu na dziwne i nieokreślone stanowisko w domu — Marcyśka, z którą ostatecznie teraz „coś“ zrobić trzeba było.

Jeżeli zawsze była ciężarem czy niewygodną zawadą w domu — to tem bardziej teraz, gdy dom ten zmienił pana a z nim i dawny ład i porządek. Obecność jej była rodzajem problematu, przykrej uciążliwej kwestyi, której rozwiązania spodziewano się i domagano milcząco — po zięciu. Tymczasem interesowana siedziała na ławce, wtulona w ciasny kąt ściany, bierna i obojętna. Pod tą obojętnością jednak kryło się wiele żalu i bólu a może i troski o swą przyszłość. Przeczuwała, że tu teraz sąd nad nią będzie... I nie omyliła się...

Przykre milczenie przerwał zięć pierwszy zwracając się do gospodyni siedzącej cicho pod piecem. I ona wiedziała, że ze śmiercią „nieboszczyka“ i jej rządy ustały — do chaty wszedł nowy pan...

— Matusia — zaczął zięć — przy nas se ostaną do śmierci, jak ojciec nieboscyk przykazał, i co mają, to i tak do grobu ze sobą nie wezmą.

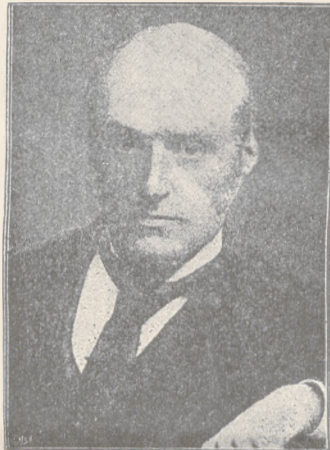
— Bóg zapłać — mruknęła rozrzewniona kobieta.

— Dla dziecek — ciągnął zięć dalej — także miejsca w chałupie a łyżki przy misie nie zbraknie. Odchodujemy jak chciał nieboscyk a potem se w świat pójdą.

Lekarze królowej angielskiej.



Sir James Reid.



Sir Douglas Powell.

Milczeniem akceptowano decyzyę.

Następowała najdrażliwsza część programu. Nowy pan zwrócił się nagle do dziewczyny skulonej w kącie.

— A cóż ty Marcyna poczniesz?

— Nie frasujta się o mnie — odrzekła zagadnięta wychylając swą postać w stronę światła lampy.

— W chałupie miejsca mało — zaczął znowu tonem zimnej perswazyi szwagier — i my sami nie wiema ka się podzieć.

— Nie bójta się — odcięła Marcyśka — nie wezmę wam waszego miejsca, nie wezmę!

— A i tak dosyć wstydu najedliśmy się z tobą.

Marcyśka wstała, podeszła do stołu i wyciągnęła pięść do rodziny. Oczy jej błyszczały gniewem i wściekłością, chustka zsunęła się z głowy, twarz całą wykrzywiła złość i ironia. Nikt jej jeszcze takiej nie widział — była w tej chwili brzydką i straszną.

— Ja wstyd mój sama jadłam i was nie prosiłam jeść go ze mną — zasyczała — wstydem się moim teraz dzielić chcecie, a dzieliliście się dobrocią i kochaniem?... Psem byłam u was i u moich rodzonych... Dobry wam teraz i wstyd mój kiedy wyzenić mnie chcecie — Nie bójta się świagierka, nie bójta, — krzyczała chrapliwie. — Zabiorę mój wstyd i pójde se z nim, dość wam w chałupie miejsca ostanie...

— Kaz pójdziesz? — wtrąciła macocha od pieca.

— Do ludzisków pójdę, na służbę pójdę, do miasta pójdę — krzyczała.

— Kiej? — zapytał z niewzruszonym spokojem szwagier.

— Choćby i dziś, choćby i teraz — wołała Marcysia tupiąc nogami.

Szwagier skwapliwie podchwycił.

— Ano wola twoja — idź, może se tam szczęście znajdziesz.

— Wara wam do mego szczęścia — pogroziła mu pięścią pod nos.

Ale szwagierek był niewzruszonym w swej zimnej krwi.

— Ociec o tobie nie pamiętali i nie spomnieli, aleć zawsze na drogę coś potrza.

Poszedł do skrzyni, wydobył chustkę i podał dziewczynie.

— To po twojej nieboszce matce, po tatusiu weź se buty — dodał, pokazując w kąt na olbrzymie tatowe buciska — potem zwrócił się do kobiety siedzącej przy piecu:

— Dajcie no matka 10 papierków, żeby nie pomstowała.

Z kolei kobieta schyliła się nad skrzynią, wygrzebała ze dna brudną szmatę, podeszła do stołu, odwinęła ją z poszanowaniem i wyjęła z niej stary podarty papierek oddała zięciowi.

— *Naści!* — rzekł szwagier wtykając Marcyśce go w rękę. Marcyśka siedziała już spokojna i obojętna w swym kącie. Oglądnęła chustkę, owiązała się nią, buty w rękę wzięła i zabrany pomięty papierek 10 reńskowy w zanadrze — powstała.

Jeszcze raz wzrokiem obrzuciła kąty izby i niepatrząc na swoich chwyciła za klamkę.

— Ostańcie z Bogiem! mruknęła za drwiami. Na dworze było już ciemno. Chłodny jesienny wieczór szumiał w drzewach, których półnagie konary chwiały się ku sobie, jakby kiwając pogardliwie głowami; olbrzymiemi palcami wskazywały na uchodzącą Marcyśkę, a wiatr gwizdał jej w uszach: „wstyd! wstyd!“... Daleko we wsi odezwały się psy, naprzód jeden, potem cały chór — i psy jej spokoju nie dały i w ich ujadaniu usłyszała złorzeczenie „wstyd! wstyd!!“... Odwróciła się w stronę opuszczonej wsi, przystanęła i z wściekłością pogroziła pięścią w ciemną przestrzeń, a potem, z podwojonym pośpiechem, zamykając uszy na gwizd wiatru a oczy na widok kołyszących się drzew, szła przed siebie.

Przed nią — na skraju ciemnego choryzontu błyszczał półkolem szereg migotliwych światełek... To miasto — przed świtem tam będzie... Zebrała się w sobie i niewymijając kałuży ni kamieni szła ostro naprzód. A miasto mrugało ku niej oddalonemi światełkami poufale i uspokajająco: „Chodź! Chodź!... Chodź do mnie ty biedna, wyklęta! Ja nie znam wstydu — ja się nie gorszę upadkiem, bo wstyd twój i twój upadek utonie w mych murach i ulicach wraz z tobą!



Z życia królowej Wiktoryi.



Uroczysty wjazd do Londynu.

Nasze ryciny.

Wszystkie pisma całego świata są teraz przepełnione wspomnieniami z życia zmarłej królowej Wiktoryi. Zwłaszcza dzienniki angielskie prześcigają się nawzajem w wyszukiwaniu anegdot i zdarzeń prawdziwych, o ciekawej nieraz treści. Największą wagę przykłada naród angielski do wspomnień historycznych, w których postać monarchini łączy się nierozerwalnie z całym szeregiem zdarzeń, odzwierciedlających w sobie wzrost angielskiej potęgi pod berłem królowej Wiktoryi. Na jednej z rycin dzisiejszego numeru znajdą czytelnicy wyobrażenie pierwszego hołdu, jaki złożyli młodziuchnej, 18 lat liczącej królowej, arcybiskup kantuaryjski i lord kanclerz. Było to w dniu 20. czerwca 1837 r. Wiktorya jeszcze spała, gdy obaj ci dostojnicy zjawili się w pałacu Kensingtońskim i obwieściwszy królowej,

która wyszła do nich w rannym stroju, że król Wilhelm IV. zakończył życie, przystąpili do ucałowania ręki nowej władczyni. Druga rycina wyobraża wjazd młodziutkiej królowej do londyńskiego City. Wspaniały powóz, zaprzężony w pyszne rumaki, zawiózł Wiktoryę do „City“, gdzie starodawnym obyczajem musiała prosić lorda-majora Londynu o pozwolenie wjazdu. Lord-major i dostojnicy miejscy, ubrani w średniowieczne stroje, wystąpili na spotkanie monarchini; mowa lorda-majora zakończona słowami: „Boże chroń królową“ („God save the Queen“) wywołała olbrzymi entuzyazm. — Cesarz Franciszek Józef widział się ostatni raz ze zmarłą monarchinią, która była wielką jego przyjaciółką, dnia 13. września 1893 r. Było to w Cimiez, w Park-hôtel. Przy rozmowie była zrazu obecną cesarzowa Elżbieta oraz księżniczki Beatrycza i Krystyna duńska. Po jakich dziesięciu minutach damy oddaliły się a cesarz rozmawiał jeszcze kwadrans z królową.

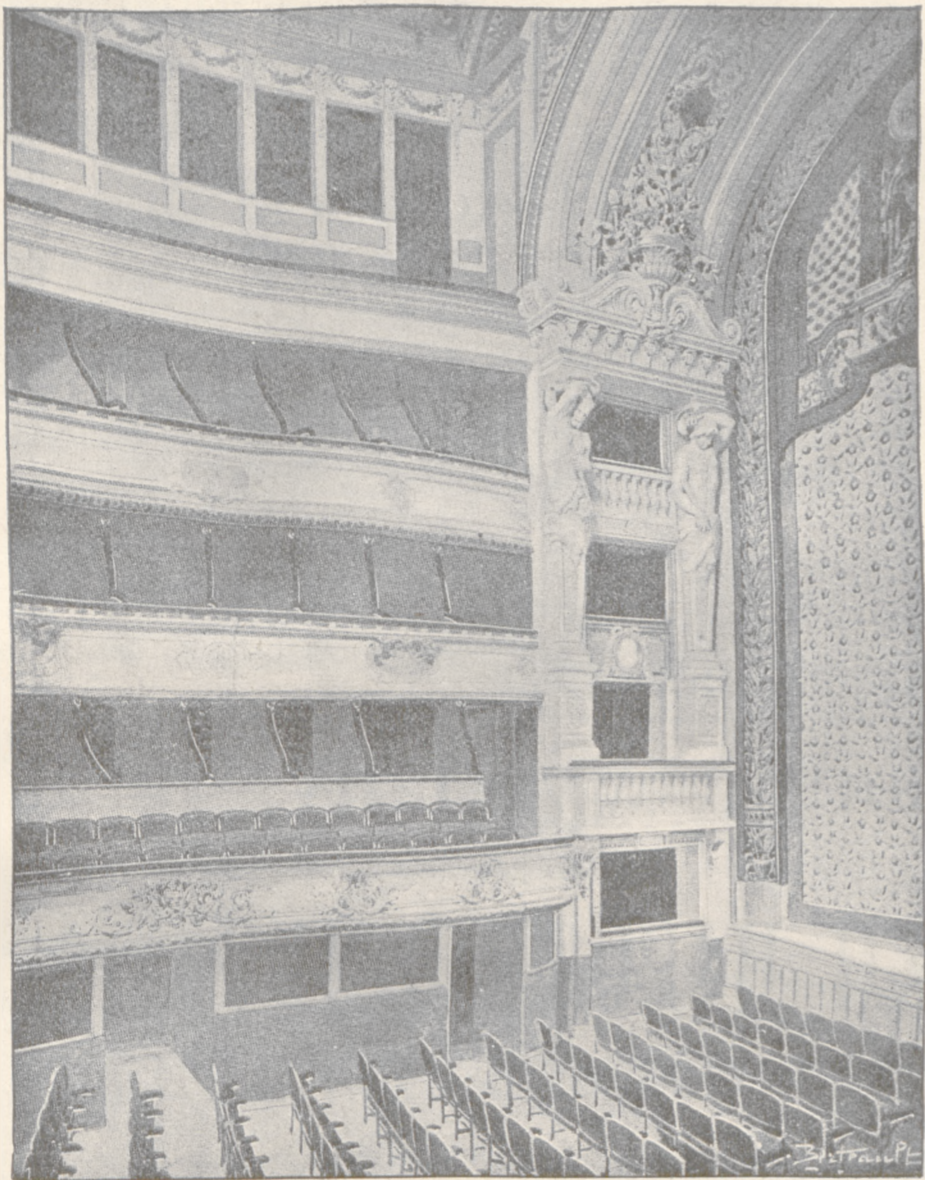
Jak dziwnie odbijają od tych świetlanych wspomnień obrazy, które przesunęły się przed okiem angielskiego ludu, w ostatnich paru tygodniach! Tłumy wystawały po ulicach oczekując trwożnie na biuletyny, wydawane ustawicznie przez urząd dworski, aż wreszcie ujrzano na murach Mansion-House złowrogą depeszę, przesłaną przez nowego króla Edwarda VII. (wówczas tytułował się on jeszcze: Albertem Edwardem). Tekst jej, umieszczony w ramach z czarnego aksamitu brzmiał w te słowa: „Moja ukochana matka zmarła w otoczeniu dzieci i wnuków. Albert Edward“. Telegram został wywieszony przez lorda-majora Londynu, którego o śmierci królowej nasamprzód powiadomiono. — Pogrzeb królowej odbył się w piątek 1-go b. m. z zamku Osborne, gdzie zwłoki jej leżały na wspaniałym katafalku. W wielkiej sali jadalnej zamku, przerobionej na kaplicę, wznosiły się mary, na których złożono śmiertelne szczątki zmarłej władczyni. Potrójną trumnę przykrywały ciężkie pokrycia, na wierzchu zaś spoczywała korona. Ściany kaplicy obwieszono czarnemi draperyami, dokoła zaś katafalku wznosił się las z egzotycznych krzewów. Czterech grenadierów królewskiego pułku trzymało ustawicznie straż przy zwłokach; karabiny ich, na znak żałoby miały lufy zwrócone ku ziemi.

Niedawno temu podaliśmy opis inaguracyjnego przedstawienia, w nowo po zeszłorocznym pożarze odbudowanej „Comédie francaise“. Nowy amfiteatr, dzieło budowniczego Guadeta, jest od dawnego o wiele jaśniejszy i posiada lepszą akustykę. Ściany zdobne są licznemi złoceniami, obicia na fotelach mają kolor czerwony, zarówno jak i rampy u lóż i balkonów. Sufit malował Jambon, kurtyna wyszła z pod pędzla Rubé'go.

Odkąd w sprawie chińskiej miejsce argumentów ołowianych i stalowych zajęły dowodzenia dyplomatyczne, a walka przeniosła się z pól ryżowych na zielony stolik, przy którym radzą różne komisye, Chińczycy poczynają brać stanowczo górę nad „cywilizatorami“. Znana chytrość synów Państwa Niebieskiego dopomaga im niemało w wodzeniu za nos „białych djabłów“. Zamiast dział, strzelają korki od szampana, którym hr. Waldersee traktuje (na koszt mocarstw) komisye, obradujące nad pacyfikacyą kraju i ułożeniem warunków pokoju, a przy tej muzyce Chińczycy dają istny koncert sprytu i przebiegłości. Zwłaszcza stary lis, Li-hung-czang, dokazuje cudów, chorując, przychodząc do zdrowia, a nawet umierając, gdy tylko zachodzi potrzeba, byle odwlec w nieskończoność układy. Jak dotąd, plon osiągnięty z rokowań niezbyt pokaźnie się przedstawia. Cesarz Wilhelm twierdzi wprawdzie, iż „honor narodu niemieckiego został już pomszczony“, przynajmniej w jakiejś minimalnej cząsteczce, przez stracenie mordercy posła Kettelera, lecz sceptycy powątpiewają nieco, żali radość Wilhelma Żeglarza ma słuszne podstawy. Chińczycy wydali wprawdzie na śmierć jakiegoś człowieka, twierdząc, że to on zabił barona Kettelera, ów człowiek miał się nawet przyznać do zbrodni, lecz zachowanie się jego zdradzało kompletny brak jednej z pięciu niezbędnych człowiekowi klepek. Po odczytaniu wyroku śmierci, wprowadzono złoczyńcę do czworoboku, utworzonego przez wojska mocarstwowe i kat, chwyciwszy go za warkocz, jednem uderzeniem miecza zwalił mu głowę z karku. Jak już wyżej zaznaczyliśmy, trudno jest wszakże skonstatować, czy ów stracony był rzeczywiście tym, o którego śmierć tak bardzo chodziło obrażonym Niemcom; prawdopodobnie Chińczycy nie zgodzili by się na odebranie życia dzielnemu synowi ojczyzny, który uwolnił kraj od „białego dyabła“ o tak wysokiej randze, a skontrolować tożsamość osoby, było rzeczą wprost niemożliwą.

Między pamiątkami, zostawionemi nam przez minione stulecie, pierwsze miejsce zajmuje bezsprzecznie kolej żelazna. Dzisiaj gdy „Nord — Süd — i Orientexpressy“ przebiegają Europę od Madrytu do Petersburga i od Moskwy do Neapolu, dziwne wrażenie robi pierwszy pociąg osobowy, przedstawiony na jednej z rycin dzisiejszego numeru. Lokomotywa wygląda w obec dzisiejszych olbrzymów jak dziecinna zabawka, a wagony nie przypominają w niczem nietylko sypialnych wagonów systemu Pullmana, lecz nawet zwykłych wozów trzeciej klasy z pierwszego lepszego pociągu kolei lokalnej. Są to, jak widać, zwyczajne pocztowe landary, pozczepiane zapomocą łańcuchów i obsadzone od góry do dołu pasażerami. Pierwsza i druga klasa mieści się wewnątrz wozu; amatorowie świeżego powietrza i pięknych widoków usadowili się w klasie trzeciej — na wierzchu koczobryków, które

Nowoczesne teatry.



Widownia świeżo odbudowanej „Comédie Française“ w Paryżu.

acz piękne kształtem, muszą pod względem komfortu niejedno pozostawiać do życzenia. Strój publiczności zgromadzonej w okół „pierwszego pociągu“ wskazuje iż jesteśmy przeniesieni w pierwsze ćwierćwiecze minionego stulecia. I rzeczywiście, pierwszy pociąg osobowy wyruszył ze Stocktonu do Darlington w Anglii w dniu 25. września 1825. r. Dziś patrzymy się z uśmiechem na te pierwsze próby kolei żelaznych, szydząc w duchu z naszych antenatów, którzy musieli się kontentować żółwią jazdą ówczesnych pociągów; ciekawem byłoby zobaczyć drwiące miny, z jakiemi nasi następcy będą się przyglądali za sto lat dzisiejszym „kuryerom“ i „expressom“ ,jeżeli w ogólności jakie muzeum archeologiczne będzie miało w przechowaniu te przedpotopowe zabytki.

Szereg rycin, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, zamykają podobizny lekarzy, którzy daremnie, niestety, usiłowali powstrzymać ulatujące życie zmarłej monarchini. Nazwiska ich są: Sir James Reid i Sir Douglas Powell. Obaj piastowali godność nadwornych lekarzy. Reid przez dwa lata, od 1875 — 1876 roku znajdował się na studyach w Wiedniu.



KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* W odcinku dzisiejszego Nr. rozpoczynamy druk niezwykle zajmującej powieści p. t. „Matce rzeczypospolitej“ napisanej oryginalnie przez znanego artystę — malarza p. Ludwika Stasiaka.

* Cesarz Wilhelm skorzystał ze sposobności jubileuszu koronacyjnego, aby się popisać jednym z licznych swoich talentów i napisał prolog do sztuki Laufsa p. t. „Wzlot orlęcia“. Jest to wzniosła alegorya; przedstawiony jest Rycerz Ideału, który ma za zadanie wskrzesić na ziemi królestwo Chrystusowe (naturalnie tym rycerzem jest Wilhelm II-gi). Aby mu w tem dopomódz, „Kowal Narodów“ dał mu dwie towarzyszki: „Prawość“ i „Ufność w Boga“, a nadto dla uzbrojenia go przeciw nieprzyjaciołom Prawdy, wydobył z ziemi Siłę, pod postacią uzbrojonego od stóp do głów rycerza. W chwili, gdy ten rycerz się wyłania, rozbrzmiewa za sceną chór, śpiewający hymn Lutra: „Ein' feste Burg ist unser Gott“. Następnie „Kowal Narodów“ przepowiada naturalnie Hohenzollerom liczne zwycięztwa. Sztuka kończy się apoteozą Fryderyka I.

* O śmierci Böcklin'a donoszą z Florencyi następujące szczegóły: Znakomity artysta zachorował na zapalente oskrzeli, podobnie jak w roku zeszłym. W pierwszych dniach zaszło polepszenie, poczem jednak nastąpił tak raptowny upadek sił, że lekarz domowy oznajmił rodzinie o bliskiej katastofie. Böcklin sam nie miał świadomości swego stanu, przeciwnie, zapewniał ciągle, iż czuje się lepiej. We wtorek wieczorem stracił przytomność, a już w środę rano zmarł bez cierpień; żona i syn, Karol, nie odstępowali jego łoża. Pogrzeb odbył się z wielkim przepychem; z Fiesole wyruszył bardzo liczny orszak żałobny, orkiestra i stowarzyszenia miejscowe wzięły udział w oddaniu ostatniej posługi znakomitemu artyście. Samo pochowanie zwłok odbyło się wszakże, na wskutek życzenia rodziny, w obecności najbliższego koła przyjaciół.

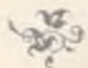
* W Londynie ogłoszono konkurs dla kompozytorów angielskich na napisanie hymnu dziękczynnego do Boga za dobrodziejstwa, jakiemi Anglia została obsypana w ciągu XIX wieku. Utwory „mają odpowiadać uczuciom religijnym poddanych brytańskich“, a psalmy 103, 107 i 150 wymienione są jako te, które najlepiej uczucia te wyrażają. Nagród będzie dwanaście w ogólnej sumie 6,000 fst.

* Operę p. t. „Pasterka i kominiarz“ napisał August Enna, według bajki Andersen'a.

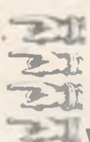
* „Książka“. Pod tym tytułem wyszedł w Warszawie 1-szy numer miesięcznika, poświęconego bibliografii krytycznej, który postawił sobie za zadanie „być możliwie zupełnym, bezstronnym i fachowym obrazem krytycznym bieżącego piśmiennictwa polskiego“.

Temu zadaniu nr. 1 „Książki“ sprostał pod każdym względem. Zaznaczyć przedewszystkiem wypada bezstronność, którą nacechowane są krótkie, lecz treściwe i rzeczowe sprawozdania krytyczne. Bardzo dodatnio przedstawia się również wyczerpujący dział bibliograficzny. Natomiast krytyka i bibliografia czasopism polskich ogranicza się w 1 nr. „Książki“ do suchego wyliczenia tytułów prac, zamieszczonych w kilku miesięcznikach i kwartalnikach, z pominięciem tygodników, które przecież pochłaniają znaczną część produkcyi piśmienniczej.

* Oratoryum ks. Perosi'ego „*Natale*“ (Boże Narodzenie), wykonano przed kilku dniami w Rzymie. Nowe to dzieło księdza-kompozytora wykonano w kościele Ś-tych Apostołów wobec kardynałów i tłumnie zgromadzonej puliczności. Partyę sopranową śpiewała hr. Pecci, żona bratanka Ojca Ś-go, hr. Kamilla Pecci'ego, partyę „historyka“ wykonał znany baryton Kaschmann. Orkiestrą dyrygował ks. Perosi. Powodzenie było bardzo słabe.



W Niedziele i Święta zamknięte.
Grodzka L. 2.
(dawniej Bruno Hahn.)



NA KARNAWAŁ

Stefan Porębski i Sp.
polecają
wachlarze, pudry, rękawiczki, perfumy, szale, mydełka, wstążki.

DZIERŻAWY

poszukuje się od 400—500 mórg ornego pola z łąkami, w dobrej glebie przepuszczalnej i z zabudowaniami.

Zgłoszenia pod »**Dzierżawa**« przyjmuje Dział inseratów. »Głosu Narodu«,

ul. Szewska l. 13.

Majątek

obszaru 243 mórg ziemi w czem 106 m. roli pszennej, 24 m. łąk, reszta las w połowie zdolny do cięcia, wraz z inwentarzem żywym i martwym, z dobremi zabudowaniami, w bliskości Krakowa, do sprzedania lub zamiany na kamienicę w Krakowie.

Informacyi udzieli p. Ign. Plesnar Kraków, Szewska 13.

Majątek 1000 mórg, w tym połowa lasów młodych świerkowych a połowa roli i łąk 100 m., dom murowany piątrowy, 8 mil z Krakowa z inwent. tanio do sprzedania. Położenie śliczne — zdrowe.

Majątek 276 m. połowę lasu, w tym 50 m. rębnego, reszta rola i łąki 24 m. z inwent. 5 mil z Krakowa bez długów za 35.000 złr. do sprzedania. Część może zostać przy hipotece.

Majątek blisko Krakowa, piękny, łąk do 80 m. do sprzedania lub zamiany.

Dzierżawa 400 m. w tym przeszło 70 m. łąk i mniejsze do wzięcia.

Kamienice do sprzedania i zamiany na majątki.

Kamienica wartości 30.000 połowa banku, jest do zamiany na mały folwark lub większą dzierżawę i t. p. interesa

poleca

Biuro komisowo-inform. Wł. Jaworskiego
w Krakowie; przy ul. Grodzkiej l. 35.

Drukarnia i stereotypia
A. Koziańskiego

w Krakowie, Karmelicka, 2.

zaopatrzona w najnowsze, motorem poruszane maszyny i we wszelkiego rodzaju najozdobniejsze czcionki — wykonuje szybko, na każdy termin wszelkie powierzone jej prace tak w polskim jak i w obcych językach aż do najwykwintniejszych wymagających smaku artystycznego i zastosowania najnowszych ulepszeń w typografii.

Stereotypuje się również całe dzieła.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprzywil. gal. akc.

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE,

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszemi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów, i wylosowanych efektów bez potrącenia prowizyi. 5

FILIA c. k. UPRZYW. GALIC. AKC.

Banku Hipotecznego

43 **W KRAKOWIE.**

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oprocentowując takowe

4½% za 90 dniowem wypowiedzeniem
4% za 60 dniowem wypowiedzeniem
3½% za 30 dniowem wypowiedzeniem

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku hipotecznego przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

Kalendarze „Głosu Narodu"

są do nabycia

w dziale inseratowym „Głosu Narodu" przy ul. Jagiellońskiej l. 5, parter.

Świetny interes!

Majątek lasowy

4771 mórg

w tem ornej ziemi 1556 mórg, łąk 204 mórg, reszta

las do cięcia zdolny

ma do sprzedania

J. Plesnar, Kraków Szewska L. 13.

Majątek ziemski

około 500 mórg

w czem 200 mórg roli, dobrej przepuszczalnej ziemi, 28 m. łąk dwukośnych, 10 m. ogrodu, reszta las ładnie zapuszczony od 5 do 20 lat. Budynki w bardzo dobrym stanie, prawie nowe, wraz z inwentarzem żywym i martwym ma

do sprzedania

J. Plesnar, Kraków
Szewska L. 13.

Koszule Frakowe Kołnierze, Mankiety, Krawaty, Chusteczki jedwabne, Spinki, Rękawiczki, Kapelusze składane, (Chapeau Claque) Cylindry, Czapki, Woda kolońska, Perfumy, Mydło, Grzebienie, Szczoteczki, Pudry i różne przybory toaletowe. 285

poleca w największym wyborze **„Louvre" Rynek 41**
linia A-B.

Poszukuje się

MAJĄTKU

w bliskości Krakowa 200 do 250 mórg **na zamianę** na kamienicę w Krakowie.

Zgłoszenia proszę nadsyłać pod adresem: J. Plesnar, Kraków, ul. Jagiellońska 5. „Głos Narodu".

Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie okazy tutek.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS"

WŁ. BEŁDOWSKIEGO

magistra farmacyi i chemika w Krakowie.

Kraków, przy ul. Poselskiej l. 20.

883

Dla łatwego wyboru tutek polecam.

Tutki białe „Noris"	do tytoniów lekkich i specyalnych	Tutki kukurudziane „Maїs de Paris"	do tytoniów specyalnych
„ „ z watą		„ „ „Maїs Wallis"	
„ kukurudziane „Maїs Numa"		„ egipskie „El Maur"	
„ „ „Maїs Albert"		„ „ "Offic. Club"	

Idąc za postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania palących papierosy, wprowadziłem »Noris« udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, i dlatego cały papieros do końca można smacznie wypalić.

W ogle zwracam uwagę na tutki białe »Noris« i kukrudziane, odznaczające się chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływające ujemnie na zmianę smaku i zapachu tytoniu i to jest ich bardzo wysoką zaletą, że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.

Liczne uznania jakie ciągle odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia w handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: w składzie osobliwszych gatunków tytoni i cygar, ulica Karola Ludwika.

1½ Z wysokiem poważaniem
Wł. Bełdowski, mag. farmacyi i chemik.

PP. Kupcom i Cukiernikom polecam worki papierowe i pudełka na cukry po cenach bardzo niskich.

WĘGLE i KOKS

najlepszego pruskiego gatunku sprzedaje wagonami

D. Goldstein, Oświęcim.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.